NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 612.500·— Mk. z przes. 617.500·— Mk. Półrocznie 1235.000·— Mk. Rocznie 2470.000· — Ameryka: 12 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 23 centimów.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie. Redakcja otwarta dla stron od 10—12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 50000 Marek.**

Rok XX. Kraków, 3 listopada 1923. Nr. 44.

Manifestacyjny strajk w Krakowie



Manifestacyjny strajk w Krakowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Jako preludium do spodziewanego i głuchemi wieściami już poprzedzanego generalnego strajku, wybuchł 29. b. m. w Krakowie strajk manifestacyjny.

Trudno zresztą skwalifikować manifestacyę robotniczą z poniedziałku. Była ona i wyrazem sympatyi i poparcia strajkujących już przeważnie kolejarzy a częściowo i pocztowców, była przypomnieniem ekonomicznych postulatów pracującego ludu, była wreszcie i rodzajem poważnego „memento" pod adresem niepopularnego obecnego rządu. Strajk z 29 b. m. miał jednak wybitnie i przeważnie charakter ekonomiczny, chociaż nie brakło w nim momentów politycznych i społecznych. Wielka manifestacya strajkujących robotników ogarnęła bardzo szerokie masy i wiele, acz nie wszystkie zawody. W kilku fabrykach i drukarniach pracowano, czynną była również elektrownia i wodociągi, natomiast tramwaj ruch zastanowtł, słabo natomiast objawiał się ruch po sklepach, z których wiele było zamkniętych a praca murarska (budowa kamienic) na wielu punktach miasta została przerwaną.

Strajk rozpoczął się o godzinie 8-ej zrana, ku czemu dały hasło liczne syreny fabryczne.

Od samego rana zauważyć się dawał niezwykły ruch i gorączkowe ożywienie wśród tłumów, które zalały formalnie Plac Szczepański, gdzie pod gołem niebem miał się odbyć wiec strajkujących.

Obszerny plac okazał się jednak jeszcze za szczupłym dla pomieszczenia tysięcy, to też przeniesiono się na Rynek gł. pod pomnik Mickiewicza, gdzie wkrótce znalazły się zszeregowane kadry członków P. P. S. z sztandarem na czele. Cały Rynek zalany został masą robotników, a ponad gęsto zbite głowy tłumu powiewały z wiatrem czerwone sztandary P. P. S. olbrzymie wstęgi z tezami Partyi i symboliczne wyobrażenia szubienic z wiszącą na nich „8" i inicyałami „S. S. S." (Stronnictwo samoobrony społecznej, którego członkowie ofiarowali swe usługi w miejsce strajkujących robotników).

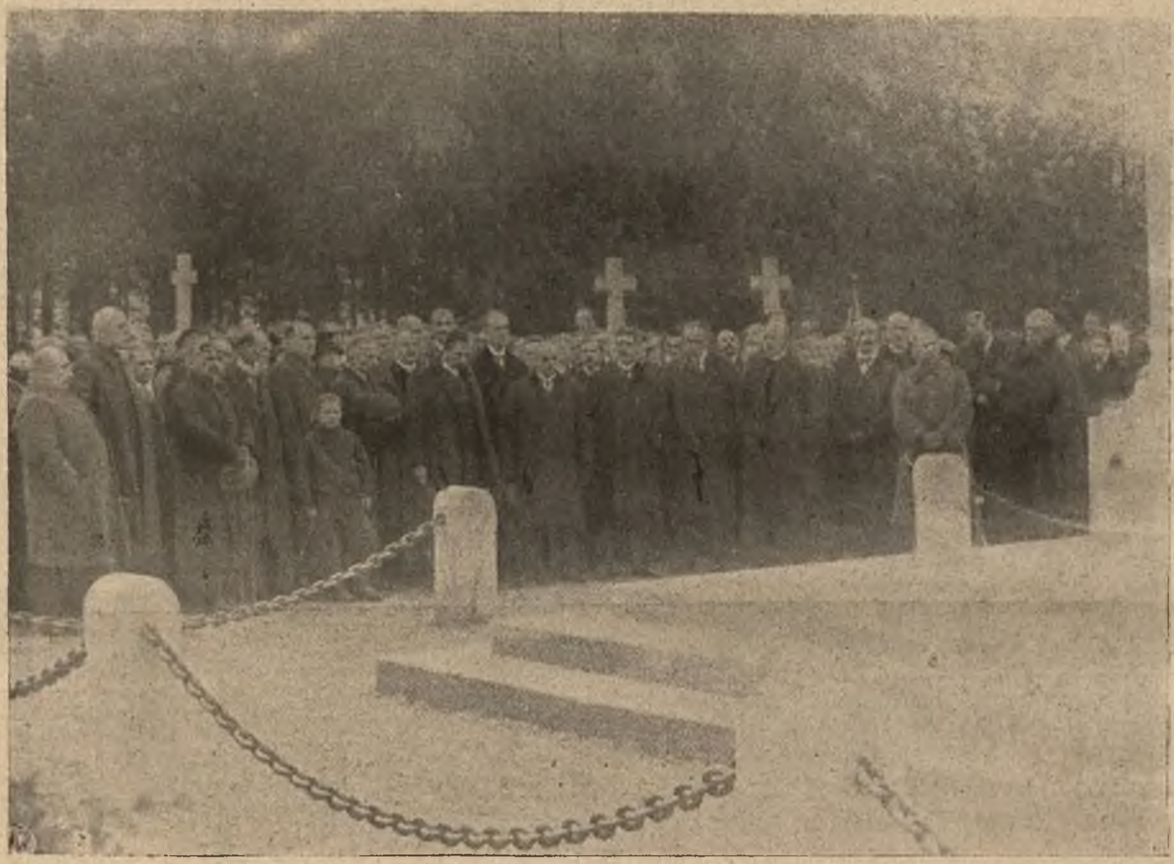
Z pod pomnika przemówił do zgromadzonych poseł Bobrowski, który scharakteryzował położenia robotników i napiętnował działalność obecnego rządu, poczem kolejno głos zabierali pp. Jasiński, Jaroszewski, Packan i Hoffmann.

W dwóch rezolucyach zebrani postawili swe ekonomiczne żądania, potępili działalność obecnego rządu i domagali się jego ustąpienia, strajkującym zaś kolejarzom i pocztowcom wyrazili swoją sympatyę.

Stąd udali się zgromadzeni przed gmach Województwa, gdzie również wygłoszono mowy, wreszcie pochód ruszył przed Dom robotniczy przy ul. Dunajewskiego z „Czerwonym sztandarem" na ustach.

Tu na wezwanie p. Packana pochód się rozwiązał i uczestnicy spokojnie rozeszli się do domów.

Rysownik nasz redakcyjny przedstawił na tytułowej karcie jako naoczny świadek scenę z wiecu na Rynku.



Zginęli jak żołnierz na posterunku: Dostojnicy i publiczność u stóp pomnika.

Zginęli — jak żołnierz na posterunku.

„Dulce et decorum est pro patria mori!". Tą świętą, wielką prawdę głosił już starożytny rzymianin-obywatel. I dziś wyznaje to hasło każdy zacny człowiek: „Słodko i chwalebnie jest nmrzeć za Ojczyznę!".

Lecz czyż tak szczytnie pojęty obowiązek spełnia jedynie na polu chwały żołnierz z bronią w ręku?

Czyż na miano bohaterstwa nie zasługuje poświęcenie zakonnicy pielęgnującej chorego, praca





Zginęli jak żołnierz na posterunku:
Pomnik zmarłych na tyfus urzędników repatryacyjnych w Baranowiczach. Groby zmarłych urzędników repatryacyjnych w Baranowiczach.



Powrót Turków do Konstantynopola: Dzielnica Galata w chwili wmaszerowania wojsk tureckich.

lekarza niosącego ulgę i ozdrowienie, sanitaryusz, który w samarytańskiej posłudze naraża własne życie by uratować życie bliźniego?

Kto wie czy ci nieznani skromni bohaterzy nie są warci większej czci i pośmiertnych laurów niż żołnierz ginący w walce, którego unosi zapał odwaga i szał bojowy, podczas, gdy ci pierwsi wychodzą na zimno, z rozwagą na spotkanie śmierci, a których jedyną pobudką bohaterstwa jest miłość bliźniego i poczucie obowiązku!

Tak zginęło w niedawnym czasie na swym posterunku 182 pracowników Etapu repatryacyjnego w Baranowiczach, przy pielęgnacyi chorych rodaków — uległszy strasznym epidemiom tyfusu i cholery.

Tymi dniami odsłonięty został w Baranowiczach pomnik tych 182 cichych bohaterów.

W uroczystym tym akcie uczestniczyli, prócz tłumów ludności również i wybitni dostojnicy i przedstawiciele władz: premier Witos, minister Bujalski, przedstawiciel Ligi narodów pułkownik Watson, wojewoda Raczkiewicz, pułk. Aleksandrowicz, kapelan ks. Eysmond, komisarz Etapu I. Prokutowski i w. i.

W niniejszym numerze podajemy szereg zdjęć upamiętniających tą wzniosłą a smutną uroczystość.

Powrót Turków do Konstantynopola.

W niniejszym numerze podajemy szereg zdjęć przedstawiających powrót oddziałów tureckich do stolicy, która jednak nie zatrzyma długo tego tytułu, ponieważ Mustafa Kemal zdołał uzyskać zgodę Wielkiego Zgromadzenia na projekt przeniesienia do Angory urzędowego centrum nowej „Republiki tureckiej". Angora była zresztą w istocie od kilku lat właściwą stolicą Turcyi.

Powrót wojska tureckiego do stolicy odbył się 6-go października i zamienił się w tryumfalną manifestacyę wywalczonego wreszcie pokoju i zwrotu ziem ojczystych. Zauważyć można było przy przechodzie wojska, że dużo kobiet miało twarze odsłonięte, a jest to objawem wielkiego a radykalnego przewrótu pojęć, który zauważyć się daje w Turcyi obecnie równocześnie ze zmianami politycznemi.

Walki byków w Hiszpanii.

Hiszpania — ojczyzna legendowego Don-Kiszota, groteskowo-rycerskich „cabbalerów" ale także św. Inkwizycyi i średniowiecznego tyraństwa panujących i obskurantyzmu i nietolerancyi tłumów — nie wyzbyła się po dziś dzień krwawych swych a niskich instyktów, jakimi odznaczała się za średnich wieków.

Przeciętny typ Hiszpana to człowiek głupi a dumny, porywczy, zabobonny i korzący się przed każdą władzą cywilną czy duchowną.

Hiszpanie lubią muzykę, taniec, wszelką pompę i paradę, najbardziej jednak przepadają za krwawą rozrywką walki byków.

Ohydna ta tradycya narodowa i obchód, jakiemu równego nie znajdziesz w całym świecie, od dziesiątek stuleci tak weszła w krew i żyły synów tej pięknej ziemi, że gdyby się znalazł kiedyś rozumny jakiś rząd i zabroniłby im tej krwiożerczej rozrywki — naraziłby się z pewnością na upadek i wybuch rewolucyi.

Walkę byków traktują w Hiszpanii z całą czcią i pietyzmem jak jakiś obchód narodowy lub religijny. Bohaterów areny uwielbiają za życia, a po śmierci wznoszą im pomniki i wychowywują specyalne rasy byków i ludzi, których zadaniem życia jest walka z temi zwierzętami gwoli uciechy i rozrywki złaknionych krwi tłumów.

Nie zapominajmy, że nawet dwór uczestniczy jako widz w tych niegodziwych zapasach.

Na olbrzymią arenę na wzór cyrku zbudowaną — wypuszczają ociężałe i ogłupiałe niewolą zwierzę, którego energię i wściekłość obudzają dopiero „torreadorzy" rozjuszający byka widokiem czerwonych płacht i „piccadorzy" kaleczący go lancami miotanemi w ciało czworonożnego zapaśnika.

Gdy byk zaczyna już naprawdę z bólu i rozdrażnienia szaleć, występuje na arenę właściwy bohater „matador", który z gołą szpadą w ręce potyka się z rozjuszoną bestyą i zabija go celnem pchnięciem ostrza, o ile oczywiście sam nie dostanie się na rogi i pod kopyta potworu.

Zwycięzcę czekają owacye tłumu, bajeczne sumy i najkosztowniejsze podarki — uwielbienie kobiet i sława bohatera...



Walki byków w Hiszpanii: Rozjuszone zwierzę rzuca się z rogami na matadora.

Rycina nasza przedstawia krytyczny moment (zdjęty z natury), gdy rozbestwione zwierzę rzuca się z rogami na matadora.





Powrót Turków do Konstantynopola:
Tłumy kobiet (przeważnie niezawoalowanych) i dzieci witają entuzyastycznie wkraczające do Carogrodu wojska tureckie.



Uwodziciel królewskiej córy umarł w zapomnieniu: Księżniczka Ludwika Belgijska.

Uwodziciel królewskiej córy — umarł w zapomnieniu.

Bohater głośnego romansu, uwodziciel córki króla belgijskiego Ludwiki, człowiek, który przez 30 lat z rzędu zajmował swą osobą opinię świata i był zgorszeniem i żyjącą kompromitacyą dworów europejskich — hr. Geza Mattachich - zmarł przed kilku dniami w jednym z podrzędnych hoteli Paryża.

Przy jego katafalku rozpaczała i łkała jedna tylko istota: nieszczęśliwa kobieta, która mu wszystko poświęciła, bo nawet cześć swoją i dobrą sławę; wierna kochanka i towarzyszka życia, wierna — aż do grobowej deski.

Księżniczka Ludwika belgijska, kobieta niegdyś niepospolitej urody, ale i nieokiełznanego temperamentu, który odziedziczyła jak się zdaje po godnym swym rodzicielu była starszą córką króla belgijskiego Leopolda II., rozwiedzioną żoną zmarlego księcia Filipa Saxen-Koburg-Gotha, brata cara Bułgaryi Ferdynanda. Po 20 latach pożycia Ludwika opuściła ks. Filipa i uciekła w świat z Gezą Mattachichem oficerem ułanów.

Kochanek jej czupurny awanturnik światowy nie odznaczał się wcale wzniosłym charakterem. Miał nawet skandaliczny proces o sfałszowanie weksli ks. Ludwiki i skazany został na więzienie. Po 4 latach w znowionym procesie rehabilitowano go wprawdzie i przywrócono mn tytuł rodowy i stopień oficerski. Geza postarał się natychmiast o uwolnienie ks. Luizy, którą równocześnie prawie z jego skazaniem osadzono w domu waryatów w Saksonii i trzymano ją tam głównie w tym celu, by odsunąć ją od spadku po jej ojcu Leopoldzie belg., który pozostawił olbrzymi prywatny majątek w Kongo.

W r. 1904 uciekają kochankowie do Paryża, lecz w drodze, w Monachium zostaje Geza przytrzymany i mimo zupełnego zwolnienia z wojska — na wyższy bezprawny rozkaz — wysłany na front bojowy.

Po wojnie osiedla się wraz z towarzyszką życia w Wiedniu, gdzie wreszcie znaleźli upragniony spokój i bezpieczeństwo.

Przed miesiącem folgując naleganiom rodziny hrabiego powrócili do Francyi. W Paryżu zaskoczyła śmierć hr. Gezę Mattachicha.

Wystawa zbiorowa obrazów Henryka Uziembły.

Po dwuletniej przerwie urządził Henryk Uziembło zbiorową wystawę swoich dzieł w „Świetlicy" krakowskiego Pałacu Sztuki.

Omawialiśmy już swego czasu w piśmie naszem działalność i prace tego utalentowanego artysty. Tym razem podkreślić musimy niezwykłą świeżość i tężyznę jaka bije z tych kilkudziesięciu razem zgromadzonych płócien. Starannie wybrane i dobrze zgrupowane obrazy uderzają bogactwem tematów i motywów. W kolorze zaś poczynił Uziembło znaczne postępy, pogłębił i wzbogacił swoją paletę nowemi tonacyami malarskiemi. Henryk Uziembło miał zawsze opinię malarza słońca i pogody. Tym razem jednak pokazał nam rzeczy nowe, ujęte w szarych subtelnych tonacyach pierwszych zapowiedzi wiosny i marcowych roztopów. Rozwiązanie tych problemów w obrazie n. p. p. l. 83 i l. 109, przynoszą zaszczyt artyście.

Z prac, w których artysta kroczy dawniej już zaznaczoną drogą, wymienilibyśmy na pierwszym planie śniegi w słońcu zatytułowane „Z Karpat" i szereg obrazów, w których Uziembło opiewa urok i piękno ziemi krakowskiej. Czy to będą odwieczne lipy otaczające wieńcem stary wiejski kościółek (L. 107) czy krakowskie strzechy (L. 8C) czy wreszcie „Wiejska zagroda" (L. 101) wszędzie uderza umiłowanie tematu, głęboka znajomość i życie się z krakowską wsią. Artysta wydobył tutaj prostemi środkami sentyment i cały urok tego malowniczego zakątka Polski.

Dobrze zaaranżowana ta wystawa jest nowym dowodem rozwijającego się nieustannie wybitnego polskiego talentu malarskiego.



Wystawa zbiorowa obrazów H. Uziembły: Portret artysty.



Uwodziciel królewskiej córy umarł w zapomnieniu: Hrabia Mattachich.

Miesiąc wędrówki po Polsce.

W świecie cywilizowanym film jest pierwszorzędnym czynnikiem uświadomienia mas o życiu społecznem. Film działa bardzo intenzywnie na umysł i wyobraźnię. Świat naukowy zastosowuje kino jako ułatwiający środek dydaktyczny dla nauki wszelkiego rodzaju.

Największe organizacye filmowe są w Stanach Zjednoczonych, gdzie przemysł ten doszedł do kolosalnych rozmiarów. Na czele tego przemysłu kroczą znakomite jednostki jak n. p. Mr. Ader Hover, bankierzy, wybitni politycy, sławni artyści, wogóle świat intelektu i sztuki. Ameryka posiada około 60 tysięcy teatrów kinowych, które płacą industryi kinowej rocznie 2.700.000.000 dolarów, to też firmy te mogą lekko płacić roczne gaże i po 2.000.000 swoim artystom. To też lokacya kapitału w wytwórczych przedsiębiorstwach kinowych jest pierwszorzędną lokatą. Obrazów tanio wytwarzać nie można, bo taką oszczędnością zabiłoby się ideę autorów, artystów i operatorów.

S. E. P. C., czyli Syndykat Film. Europy Centralnej wziął sobie za zadanie, ażeby wykonać parę filmów z Centralnej Europy, dla uświadomienia sfer amerykańskich, co jest właściwie Europa.

Początek od Polski. Amerykanin dziś już słyszał o Polsce, ma służące Polki, ma innych polskich robotników. Ale gdy go się zapytasz gdzie jest Polska. To odpowie: „O! yes Poland! Poland! Pol!... Pol!... o! yes Nordpol!. Tam u was jest bardzo zimno" Amerykanie mają szczególne uprzedzenie do geografii i języków.

W tym też celu urządza to wielkie przedsiębiorstwo objazdy i po Polsce zbierając na ekran najciekawsze okolice, obrzędy i typy, z których kilka produkujemy w niniejszym numerze.

Jest to reszta ciekawych zdjęć z kolonii angielskiej w Wilanowie pod Warszawą.

„Piękna nasza Polska cała! Piękna, żyzna i niemała" — śpiewa serdeczny nasz wieszcz W. Pol.

I ma racyę! Tyle rozmaitości. tyle cudów przyrody, architektury, takiej różnorodności typów rzadko w którym kraju spotkać!

Wyprawa kinematograficzna Tow. S. E. P. C. po Polsce dała możność uczestnikom stwierdzenia prawdy w zacytowanych na wstępie słowach poety.

Wyprawie tej zawdzięcza Pismo nasze cały szereg przepysznych, charakterystycznych zdjęć,



Wystawa zbiorowa obrazów H. Uziembły: „Marzec".

GUY DE TÈRAMOND.

KLEJNOTY RADŻY

Przez tydzień ukrywał się na drugim końcu Paryża nie mając odwagi nigdzie wyjść i nie wiedząc co robić, aby uniknąć pościgu zbrodniarzy.

Chwilowo zapewnie wierzyli, że umarł! Ale to nie mogło trwać długo. Nawet przy największej ostrożności przypadek mógł sprowadzić nieszczęśliwe spotkanie. Powrócić do matki? Ale właśnie opszczając Eu, spotkał się z tą kobietą, wspólniczką ich która próbowała wydobyć z niego tajemnicę i wprowadziła go w zasadzkę. Przypuszczał więc, że powrót jego do tak małego miasteczka będzie zauważony i oni o tem się wnet dowiedzą.

Ostrzedz policyę? Przypomniał sobie przyjęcie u naczelnika bezpieczeństwa, gdy chciał zdemaskować hrabiego, więc nie chciał się narażać na nowe szyderstwa.

Jeden człowiek mógł mu pomódz. Był to ten, który szukał morderców swego wuja i który powinien poznać oszustwo jakiego mało nie stał się ofiarą.

Nie wahał się, postanowił bezwłocznie widzieć się z baronem i u niego szukać pomocy. Gdy w tym dniu znalazł się na Champs Elysées widział obu wspólników jak oddalali się każdy w swoją stronę, na szczęście nie widzieli jak wchodził do bankiera.

Baron wszedł do salonu, ciekawy poznać cel wizyty, po tem wszystkiem co mu opowiadział pan Clamart i zapytał Lucyana Delorme.

— Pan pragnął ze mną mówić.

— Panie — odparł — opowiem mu później powody zniknięcia, które go zadziwią. Dzisiaj przychodzę z rezultatem śledztwa, które mi pan powierzył.

Baron mimo, że umiał panować nad sobą nie mógł powstrzymać zdziwienia.

— Słucham pana rzekł

— Morderca pańskiego wuja ciągnął Lucyan Delorme jest to samo indywidyum, które ofiarowało mu swoje klejnoty, które nie istnieją jak tylko w jego wyobraźni.

— Panie odparł zimno baron — nie godne byłoby z mej strony zadzwonić na służbę i oddać go w ręce policyi, która go szuka. Ale ostrzegam pana, że napróżno chcesz mię oszukać i wmówić we mnie kim jesteś i co tu robisz. Jedno słowo zaraz zburzy pańskie kłamstwa, te klejnoty, które mi służą do fałszywego oskarżenia uczciwego człowieka istnieją rzeczywiście i oto dowód.

Wskazał skrzynkę którą trzymał w ręce i dodał:

Ale Lucyan Delorme, podniósł okulary na czoło, badał uważnie skrzynkę i odparł spokojnie.

— Postaw ją pan na stole i nie dotykaj się tego więcej, ona nie zawiera wcale kosztownych kamieni, ale sprężyny ze starych zegarków, cylindry i wybuchowe przedmioty. Bomba ta może wybuchnąć za najmniejszym uderzeniem.

— Ach! wykrzyknął baron przerażony, tem co słyszał — zkąd pan to wie?

— Ja to widzę... jak widzę w lewej kieszonce kamizelki wielki płaski zegarek... w drugiej zaś kieszeni złożony cwikier... Pod pańską rękawiczką, na prawym palcu pierścionek w kształcie węża... a w pańskiej szczęce dwa zęby przednie i trzy boczne mają złote plomby... Czy tak?

— Pan zatem wszystko widzi? wykrzyknął baron zdumiony.

— Tak panie! widzę przez ciało, rzeczy, widzę przez mury.

— W jaki sposób.

— Proszę posłuchać mię trochę.

A gdy baron ręką wskazał mu krzesło i usiadł zaczął dziwną historyę.

Kilka miesięcy temu, pojechałem rano do Dieppe, za namową matki, aby poradzić się doktora Tréman, śmieszna mała narośl czerwona szpeciła mi prawe skrzydełko nosa. Ciotka moja, mieszkająca tamże z kuzynką Maryą, mówiła, że ten chirurg zapomocą aparatu radio-elektrycznego, swego pomysłu, leczy różne dolegliwości. Wyszedłem od niego ucieszony, że operacya udała się i wracałem do ciotki u której miałem być na obiedzie, od czasu do czasu wyjmowałem lusterko, aby na chwilę przypatrzyć się sobie. Przyznaję, że tak się tem zająłem, że przechodząc ulicą przez nieuwagę potknąłem się i upadłem jak długi, tak że z nosa spadł mi cwiker, a laska i kapelusz potoczyły się na ziemię. Na szczęście upadek był lekki w tej chwili wstałem, ale ten wypadek miał nieprzewidziane następstwa. Patrzałem w koło z przerażeniem, krople potu wystąpiły mi na czoło — ciało drżało z przestrachu i urywane słowa wychodziły z mych ust.

— Szkielety . same szkielety chodzą po trotuarach... ciągną wozy... we wszystkich domach. Moje wykrzykni i — zwróciły naturalnie uwagę przechodniów, przybiegli do mnie, a ja podwoiłem mój krzyk

— Otaczają mię ze wszystkich stron teraz... Swe kościste ręce wyciągają się ku mnie... Ach szkielety nie zbliżajcie się do mnie.. Nie dotykajcie mnie - chciałem uciec, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa

— Wówczas usiadłem na chodniku, ogłuszony, dyszący, zasłaniając rękami drżącemi oczy aby uniknąć strasznego widoku. Jednak ta chwila spoczynku uspokoiła mię — Włożyłem napowrót zwiker, podniosłem głowę i badałem ze zdziwieniem tłum który mię otaczał.

— Ach co się stało wyszeptałem... co znaczyło to zwidzenie, które miałem.

— Weź pan fiakra i wróć do siebie — radził mi po ojcowsku jeden z widzów, pomagając mi podnieść się — Takie zawroty są ze zmęczenia, pan potrzebuje spoczynku. Właśnie fijakier nadjechał, wskoczyłem do niego i dałem woźnicy adres ciotki. Jadąc ocierałem chustką spokone czoło, czyściłem kapelusz i starałem się uspokoić. — Widocznie z powodu braku uwagi zostałem ukarany — Gdy ciotka dowie się o tem będzie żartowała ze mnie, postanowiłem z milczeć o tej dziwnej przygodzie — Gdy przyszedłem do niej przywitała mię serdecznie wraz z córką swoją i gdy chciałem ją uścisnąć sznurek mego cwikeru zaczepił mi się o spinkę mankietu, tak że spadł z oczu i w tej chwili wykrzyknąłem z przerażeniem:

— Mój Boże!.. Marya także zmieniona w szkielet... i ciotka także... nawet ten mały piesek.. Idźcie precz zmory odemnie, które mię ścigacie wszędzie...

Jak szalony wybiegłem z przedpokoju, leciałem po cztery schody na dół i znalazłem się przed lożą odźwiernej.

Kobiecina robiła pończochę za swemi drzwiami szklanemi — przyskoczyłem do niej i zawołałem.

— Na pomoc!

Ale w tej chwili cofnąłem się z przerażeniem krzycząc:

— Jeszcze jeden! i upadłem na ziemię zemdlony.

Lucyan Delorme zatrzymał się aby odpocząć, gdy tymczasem baron Plücke badał go z niepokojem myśląc czy nie ma przed sobą obłąkanego.

Ale ten opowiadał dalej.

— Dopiero w nocy przyszedłem do przytomności, leżałem z głową obandażona, czułem się chorym, czoło jakby ściśnięte obręczą, myśli wirowały i napróżno starałem się uspokoić.

Gdy tylko się poruszyłem, delikatna ręka ujęła moją rozpaloną dłoń i kuzynka Marja wyszeptała.

— Nie ruszaj się Lucyanie — nie wolno ci mówić — opiekujemy się tobą — telegrafowałyśmy po twoją matkę. Ach! kochany jakiego strachu nabawiłeś nas, gdy cię podniesiono pod lożę odźwiernej całą twarz miałeś skrwawioną, doktór Trêmane który przyszedł natychmiast, bał się czy to nie wstrząśnienie mózgu.

— Właśnie jest rzekła ciotka.

Doktór zbliżył się do łóżka i nachylił się na de mną.

— Jak się pan czuje, nie ruszać się! jaki puls? schwycił mię za rękę — dobrze nie ma gorączki. Pozwalam mówić i może pogawędzimy trochę, te panie opowiedziały mi rzeczy tak dziwne.

— Niestety doktorze powiedziały prawdę, kiedy opowiedziałem co mi się wydarzyło po upadku, doktór Trémaux kiwał głową patrząc na ciotkę i Maryę — widocznie przypuszczał że delirium nie opuściło mię.

— Muszę leczyć tę rankę na głowie — rzekł ojcowskim tonem — a potem wytłómaczymy tę historyę szkieletów.

„Mówiąc to odwiązał bandaż i kiedy zdejmował kompres z wody, nagle elektryczne światło w pokoju zgasło i zrobiło się ciemno.

— Znowu bezpiecznik się spalił — rzekła ciotka.

— Ale gdy wyszła aby przynieść lampę, kuzynka i lekarz stali zdumieni czy nie są ofiarami złudzenia, bo przed nimi na moim łóżku, dwa światła fosforyczne świeciły w ciemności.

Doktor przyszedłszy do siebie palcami starał się zbadać dokładnie skąd pochodzą te światełka, gdy nagle wykrzyknął!

— Ależ to jego oczy tak świecą... Można powiedzieć, że wydają rodzaj promieni X.

— Promieni X? powtórzyła Marya zdziwiona.

Wskutek działania aparatu radio elektrycznego, substancya radiowa dostała się do mego mózgu — wyleczyłem się z ran odniesionych, ale odtąd nie mogłem się rozłączyć z okularami, które chroniły moje oczy od działania promieni X., bo gdy przypadkowo spadły mi lub zdjąłem je, zaraz widziałem po przez ciała, mury ubrania. Życie takie było dla mnie męką, a ponieważ zabiegi Dr. Tremaux były bezskuteczne udałem się do Paryża i u Dra Géroule rozpocząłem kuracyę. W tym czasie mieszkając u pani Armelin raz w nocy długo nie mogłem zasnąć zdjąłem okulary i wtedy to byłem świadkiem morderstwa bogatej Amerykanki. Opowiedziałem naczelnikowi bezpieczeństwa, co widziałem, lecz jak panu wiadomo aresztowano mię a potem puszczono, sądząc, żem waryat. Wówczas pan chcąc wynaleść morderców swego wuja, przyszedł do mnie, abym się podjął tego zadania. Wachałem się bom nie był pewny czy podołam temu. W dniu kiedy miałem panu oświadczyć, że nie będę się dalej zajmował tą sprawą, spotkałem u niego hrabiego d'Abazoli Viscoza, a przypadkowo mając okulary podniesione ujrzałem, że miał w czasce kulę jak morderca z ulicy Mozarta. Wówczas dowiedziałem się od pana o pożyczce jaką chciał zaciągnąć na klejnoty maharadży. Nie chcąc bez upewnienia się oskarżać niewinnego człowieka udaremniłem pańskie spotkanie z nim a sam udałem się na ulicę Vezelay. Wprowadzony do gabinetu hrabiego ujrzałem kasę w której miały być złożone klejnoty — zdjąłem okulary i przekonałem się, że moje przypuszczenie było prawdą, klejnoty nie istniały, a hrabia i jego służący byli ci sami, którzy zamordowali Amerykankę. Bez wahania oświadczyłem hrabiemu, że jest nie tylko mordercą ale i oszustem. W odpowiedzi na to otwarł kasę chcąc mi dowieść, że niesłusznie go posądzam i nim pojąłem niebezpieczeństwo, zostałem wepchnięty do kasy i drzwi za mną zamknięto. Cudem tylko ocalałem, a zawdzięczam to włamywaczom, którzy chcieli zrabować sławne klejnoty. Udałem się do pana Clamart ale powtórnie mię wyśmiał i zagroził aresztem jeżeli jeszcze raz będę oskarżał niewinnych ludzi. Zaniechałem wszystkiego, ale mordercy postanowili mię zgładzić i nasłali na mnie młodą dziewczynę która chciała mię otruć. Dzięki okularom które zdjąłem przekonałem się, że była ich wspólniczką. Przypuszczając, że będą mię ścigali dalej, udałem się do hotelu Nowe Hebrydy i tam w moim pokoju na łóżku ułożyłem zmarłego właśnie pana Boistel, a sam uciekłem wiedząc, że na policyi nie będę wysłuchany a nawet zaaresztują mię, udałem się do pana, na szczęście w sam raz bo mordercy chcieli zgładzić nie tylko mnie, ale i pana posyłając mu piekielne pudełko.

Baron słuchał w milczeniu i pojmował jakiemu dziwnemu zjawisku zawdzięczał swe ocalenie. Żal mu było młodego człowieka, nie tylko, że tylokrotnie narażał swe życie ale że i ulegał takiemu dziwnemu cierpieniu w końcu rzekł:

— Czy czasami nie czuje pan ulgi?

— Nie — odparł Lucyan Delorme potrząsając smutnie głową — ja panu nie wszystko powiedziałem. Mówiłem mu tylko, że przybyłem do Paryża leczyć się u sławnego specyalisty, a nie zna pan jego wyroku panie, człowiek nie może bezkarnie wdzierać się w tajemnicę natury. Radium będące w moim mózgu powoli zniszczy różne organa będące w zetknięciu z nim. Z początku będą ataki, potem stopniowy zanik zmysłów a w końcu śmierć z wyczerpania.

— Ale czy nie ma żadnego lekarstwa — wykrzyknął baron? — Czy operacya nie może usunąć tej strasznej substancyi?

— Operacya nie pomoże, bo lancet chirurga zabrałby z cząstką radium i kawałeczki materyi mózgowej.

Zatrzymał się chwilę i zaczął wzdychając boleśnie.

— Jednak gdy zakochałem się, miłość zaślepiła mię tak, że zapomniałem o moim okropnym losie, a pocałunki ukochanej mimo wszystkiego budziły we mnie nadzieję... Nie będę opowiadał panu o rozczarowaniu, które mię czekało, ani o okropnem cierpieniu, które sprawiło, że śmierć dziś uważam jako wybawicielkę.

Baron podniósł się i podał rękę młodemu człowiekowi.

— Mój przyjacielu oddałeś mi wielką przysługę i ja dotrzymam obietnicy którą zrobiłem, czek na 200 tysięcy franków jutro będzie panu wręczony, jako temu, który mi pomógł do wykrycia morderców wuja.

— Przyjmuję go — rzekł młody człowiek — ale nie dla siebie, lecz dla matki. Ta suma osłodzi jej trochę złamane życie moją śmiercią.

— Ale dlaczego pan nie wróci do niej?

— Ponieważ obowiązek tego mi zakazuje. Stanę się niebezpieczny dla wszystkich. Powoli będę radio-czynnym i wszystkim którzy się do mnie zbliżą udzielać będę tej strasznej substancyi.

Potem energicznym głosem dodał:

— Udajmy sie spiesznie do naczelnika bezpieczeństwa, aby uwolnić społeczeństwo od tych dwóch nędzników.

ROZDZIAŁ VI.

Nieuchronna Sprawiedliwość.

Gdy Lucyan Delorme przyprowadzony przez bankiera do naczelnika bezpieczeństwa, skończył po raz drugi swoje opowiadanie, ten ostatni musiał przyznać, że opowiadający był ofiarą hrabiego d'Abazoli Viscoza i jego służącego, że byli to dwaj mordercy. Jeden punkt nie wydawał mu się jasnym.

— W jakim stosunku był pan z pokojówką hrabiego?

— Z jaką pokojówką?

— Pan Clamart pokazał mu fotografię Julietty, znalezioną w pokoju Nowe hebrydy.

— Ależ to Małgorzata! — wykrzyknął Lucyan Delorme. — Jakto ona była w służbie u hrabiego? Wszystko się więc wyjaśnia. — I opowiedział szczegóły swej miłosnej awantury z młodą dziewczyną którą spotkał w pociągu w Eu.

— Wszystko wyjaśnione! — odparł szef kiwając głową... — tylko dlaczego ta kobieta została zamordowaną w kuchni swego pana.

Lucyan Delorme zbladł i wyszeptał:

— Jakto Małgorzata zamordowaną? Przez kogo?

— Nadarmo tego szukamy, niepojęta tajemnica unosi nad tem... jednak czyny tych łotrów długo trwały... — rzekł zwracając się do bankiera. — Jutro rano, ostrożnie, aby nam nie umknęli schwytamy ich.

Lucyan Delorme, na wiadomość o śmierci Małgorzaty, został jakby skamieniały. Czy w duszy kochał ją jeszcze? Czy miał nadzieję, że mimo wszystkiego pozyska jej serce? Miłość cuda czyni... Niezbadana tajemnica serca ludzkiego? A teraz gdy wszystko było skończone, kiedy już jej nie ujrzy więcej, zdawało mu się, że cały świat zapada się koło niego bo przerwała się ostatnia nić wiążąca go z życiem.

— Panie Naczelniku mam prośbę — rzekł — czy pozwoli mi pan wejść do hrabiego przed pańskiemi ajentami. Chcę użyć odwetu nad tym łotrem i jeżeli pan pozwoli zaniosę mu bombę.

— Dobrze — rzekł pan Clamart, któremu podobała się ta odwaga... — Jutro rano o 10 godź. bądź pan na ulicy Vezelay. — Będę tam

Kiedy naczelnik wyprowadzał swych gości, Nam udał się na Champs Elyseés zaraz po wyjściu swego pana do klubu.

Było to w godzinę po wyjeździe barona Plücke ze swym towarzyszem na ulicę Orfevres — z za drzewa, przy świetle gazowem, zobaczył jak automobil barona zatrzymał się przed domem i tenże wysiadł z niego, ale nie dostrzegł, że w głębi wozu siedział Lucyan Delorme, którego miał szofer odwieść do hotelu leżącego na drugim końcu Paryża, w którym się ukrywał.

Za kilka minut nastąpi wybuch — myślał Hindus. Ale minuty płynęły... godzina potem i część nocy, a bomba nie wybuchła

— Co to znaczy - myślał z niepokojem Nam... dalekim jednak będąc od prawdy... Czy baron nie ufał? Czy odłożył otwarcie kosztownego pudła na następny dzień. Wszystkie te przypuszczenia były możliwe i nazajutrz w gabinecie swego pana Hindus nie wiedząc co o tem myśleć rozpoczął z nim rozmowę:

— Jednak niemożliwe — mówił — aby moja bomba zawodła... Niemożliwe. Gdybyś tak zaszedł do barona, pod jakim pozorem, aby wybadać co zaszło.

— Aby mi zaproponował otwarcie pudła przy mnie — odparł hrabia — dziękuję za to.

Przybycie Zizi przerwało rozmowę.

— Dzień dobry! kochany panie hrabio — rzekł uprzejmie — widzi pan, że jestem punktualny — a rozglądając się w około dodał śmiejąc się.

— Tu się nic nie zmieniło, od czasu, kiedy pan podejmował herbatką lady Dufferton i kilku przyjaciół — pokazywałeś wówczas sławną kasę.

— Masz pan pierścionek? — zapytał hrabia nie zwracając na te słowa uwagi.

— Tak.

— I Zizi wyciągnął rękę i pokazał go na środkowym palcu.

— Mam mniejsze palce niż pan — tłómaczył.

Hrabia wysunął szufladę biura, wyjął plik błękitnych papierów, liczył je szybko, kładąc na stół.

— Oto 10 tysięcy... — a gdy Zizi zbliżył, aby je wziąść dodał... — Choć tak wygórowaną cenę żądałeś za mój pierścionek, zgodziłem się bez wachania... ale musimy jeszcze jeden punkt załatwić.

— Oto chcę panu powiedzieć, że inne powody skłaniają mię do tego jak sądzisz i że sprawę załatwiamy uczciwie. Odkupując brylant zapewniam sobie zupełnie pańskie milczenie?

— Panie — odparł żywo Zizi, jakby podobne pytanie było dla niego obelgą — nie jestem z tych którzy zdradzają cudze tajemnice.

I zdejmował pierścionek z palca, aby go oddać hrabiemu, gdy nagle odezwał się głos dzwonka.

— Nam — wykrzyknął — odpraw tego natręta, ale w chwilę później Hindus ukazał się ze zmienioną twarzą, z przerażeniem w oczach.

— To on! — wyszeptał — człowiek w okularach, on jeszcze żyje!

— Lucyan Delorme! — wykrzyknął hrabia również zdziwiony.

Ale Nam, który zbliżył się do okna dodał:

— Policya z nim!

— Policya? — wyszeptał Zizi nie rozumiejąc coby to znaczyło.

— Nie mylę się, te nieczyste indywidua chodzą po ulicy, spoglądając w naszą stronę... znam ich to ajenci policyjni... Czekają znaku, aby wejść do nas.

— Uciekaj, kto może! — wykrzyknął hrabia.

— Nie — rzekł Nam z energią. — Uciekać to znaczy przyznać się do winy... Hrabia d'Abazoli Viscoza musi stawić czoło buny — walczyć musimy do końca... Czy naprzód wiadomym jest wynik bitwy? Ale pan musi zniknąć z pierścionkiem — rzekł zwracając się do Zizi... — Później się odnaleziemy.

— Dobrze — odparł gdyż nie chciał spotkać się z policyą. Ale którędy wasz dom jest strzeżony — wyskoczyć oknem, to napewno wpadłoby się w ich ręce... Schować się gdzie... będą szukali wszędzie...

— Czekaj — wykrzyknął Nam.

Wziął pęk kluczy i otworzył kasę.

— Wejdź pan — rzekł — ściana tylna jeszcze nie naprawiona... Z drugiej strony muru znajdzie się pan w sąsiednim mieszkaniu... Tam nie przyjdą szukać, gdy niebezpieczeństwo minie wyjdzie pan.

— Znam to miejsce! — wykrzyknął Zizi spiesząc się — w każdym razie nie zdradzę was.

— Ach jaka szkoda, że kasa nie naprawiona — wyszeptał Hindus, zamykając drzwi stalowe — na zawsze pozbyliśmy się go... a teraz wprowadzę Lucyana Delorme, musiemy dowiedzieć się czego chce.

Młody człowiek wszedł spokojnie, trzymając pudło, które położył na krześle blisko drzwi.

Zbliżył się ku hrabiemu i rzekł dobitnie:

— A teraz my dwaj...

Lecz nie dokończył... Nam z tyłu zbliżył się do skrzynki i ostrzem noża z całej siły podniósł pokrywkę.

Nastąpiła straszna eksplozya, wstrząsnęła całym budynkiem aż szyby powylatywały w sąsiednich domach.

Gdy w kilka chwil później ajenci z panem Clamart dostali się do gabinetu znaleźli tylko niekształtną masę ciał.

Było to wszystko co zostało po hrabim d'Abazoli Viscoza, Namie i Lucyanie Delorme, pierwszym człowiekiem obdarzonym zdolnością nadludzką widzenia przez mury...

KONIEC.

M. MC. DONNELL BODKIM.

SKRADZIONY OPAL

(Przekład z angielskiego).

— A dziewczyna?

— Była to Lucy, moja pokojówka — wpadła mu w słowo księżna. — Przyszła do mnie z płaczem i opowiedziała wszystko. To najlepsze stworzenie pod słońcem. Pamiętasz Reginaldzie jak w poprzednim roku pielęgnowała naszego małego Archie, kiedy przypuszczano, że ma dyfteryę i wszyscy bali się zarazić, a mnie nie puszczano do niego. Kocha tę dobrę Łucyę — po mnie — zdaje mi się, bardziej niż kogokolwiek na świecie. Była w moim pokoju, kiedy mnie już ubrała i światło się jeszcze paliło. Zdaje się, że Markham, jej narzeczony, zobaczył ją w oknie i wszedł na górę. Ale przysięga ona, że żadne z nich nie myślało nawet o opalu i zdaje mi się...

— Pan Beck potrzebuje tylko faktów, Ethel — przerwał jej mąż z uśmiechem. — Wnioski potrafi sam wyciągnąć.

— Czy mógłbym zobaczyć buduar? — spytał Beck.

— Z pewnością.

— A także i pokojówkę?

— Poślę ją panu zaraz na górę.

Beck miał ledwie czas obrzucić badawczem spojrzeniem pokój, którego ściany były obite jasno błękitnym jedwabiem, gdy usłyszał nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Proszę! — zawołał, poczem weszła ładna, młoda dziewczyna. Jej oczy były czerwone od płaczu i drżała na całem ciele tak, że ledwie mogła się utrzymać na nogach, ale wyglądała niewinnie i uczciwie.

— Siadaj, moje dziecko — rzekł życzliwie Beck — i opowiedz jak się wszystko stało.

— To tylko moja wina — łkała. — Teraz Willy jest ranny, będzie musiał stanąć przed sądem, wkońcu może nawet go powieszą, a jest przecież niewinny jak nowonarodzone dziecię;

— Było wszystko twoją winą? Cóż takiego było twoją winą, moje dziecko? — spytał uspakajająco Beck. Piwne oczy, pełne łez rzuciły nań oburzone spojrzenie.

— Pewnie, że nie opal! — zawołała — Aniśmy go nie tknęli, jak się to panu zdaje. Willy rzeczywiście przyszedł nie z powodu opalu... przyszedł... mówiłam mu zresztą zaraz, żeby sobie poszedł, ale nie chciał w żaden sposób dopóki mu.. wogóle nie był ani minuty i żadne z nas nie myślało o opalu, gdy wtem naraz wpadł pan Herbert z tym swoim pistoletem i postrzelił go. Pan jest z policyi, jak słyszałam — zakończyła pokornie — Pan zrobi wszystko, żeby wyratować Willa, prawda?

— Żeby go wyratować, moje dziecko, jeżeli jest niewinny ale też — zamknąć go, jeżeli zawinił.

— O, więcej nie chcę niczego! — odparła z wdzięcznością dziewczyna — Wiem, że w tej całej brzydkiej sprawie nie brał udziału ani myślą, ani czynem.

— Teraz jeszcze chciałbym, żebyś mi uczciwie i zgodnie z prawdą odpowiedziała na parę pytań. — Czy wiesz gdzie twoja pani nosi zwykle klucz do skrytki?

— Zwyczajnie nosi go na szyi na cienkim złotym łańcuszku i ukrywa go pod suknią,

— Nie przypominasz sobie, czy go nie miała wczoraj wieczór.

— Tak. Ubrała się właśnie do obiadu i zanim zeszła do salonu widziałam, że ma na szyi łańcuszek z kluczykiem.

— Prawda, że znałaś całe urządzenie szafki?

— Rozumie się.

— I wiedziałaś, że w niej znajduje się opal?

Milczała przez chwilkę, patrząc mu prosto w twarz uczciwemi piwnemi oczyma

— Jeżeli pan sądzi, że przywłaszczyłam sobie kluczyk i ukradłam opal — co zresztą byłoby mi łatwo zrobić o każdej godzinie dnia lub nocy — to przecierz do tego nie potrzebowałam Willa. Ale ani ja, ani Willy tego nie zrobiliśmy, chociaż nawet zamknięto go z tego powodu. Niczego nie pragniemy bardziej, jak wykrycia prawdy; jeżeli się to panu uda, będziemy się modlić za pana aż do końca życia.

— Zadam sobie wszelki trud, moje dziecko— odparł życzliwie Beck — Prawda jest na dnie studni — jak powiadają ludzie — a woda jest częstokroć mętna; ale już ja tę prawdę wyłowię. Proszę cię teraz, powiedz księżnej, że chciałbym pomówić z nią przez parę minut, jeżeli będzie tak dobra.

— Poszlę kogoś do niej. Dopóki ciąży na mnie ta hańba, nie śmiem się jej pokazać na oczy. —

— No panie Beck, cóż pan teraz powie? — zawołała młoda kobieta, tak podniecona, jak gdyby chodziło o rozwiązanie zagadki, które albo znajdzie się odrazu, albo nigdy.

— O, wogóle nic nie mówię — odparł obojętnie Aecu.

— Kazał mnie pan przecież poprosić do siebie chciał mi pan przecież coś powiedzieć.

— Nie! Chciałem księżnę panią o coś zapytać. Czy ma pani kluczyk do skrytki, który mi pani poprzednio pokazywała.

— Oto jest.

Beck zbadał dokładnie łańcuszek w jednem miejscu był przecięty jakiemś ostrem narzędziem.

— Nie wie pani, kiedy się to stało?

— Tego nie mogę powiedzieć, Nie zauważyłam braku kluczyka, aż do tej chwil, kiedy znalazłam go w zamku otwartej szafeczki.

— Czy wczoraj wieczór, idąc do salonu, wzięła go pani ze sobą?

— Tak, o ile mi się zdaje. Ale całkiem pewna nie jestem, nie mogę sobie tego dokładnie przypomnieć.

Beck poszedł z kluczykiem w ręce prosto do kąta pokoju, gdzie znajdowała się szafka.

— Skądżeż pan wie, panie Beck, że tutaj znajduje się szafka?

— Poznałem to z oczu pokojówki, kiedy mówiła o skrytce,

Gdy detektyw przekręcił klucz w zamku, odsunęły się żelazne rygle i ciężkie drzwi obróciły się gładko na zawiasach. Szafka arcydzieło techniki prowadziła w ciemny głąb ściany. Beck mógł widzieć, że składa się ona z dwu przedziałów, umieszczonych jeden na drugiem i przedzielonych gęstą siatką z cienkiego stalowego drutu. Oba przedziały były pełne pudełeczek z klejnotami.

— Czy nie brakuje niczego poza opalem?— spytał Beck.

— Nie, zresztą nie brak niczego.

— Gdzie się on znajdował — w dolnym przedziale?

Księżna skinęła głową zdumiona, jak to mógł odgadnąć,

Beck wyjął z kieszeni małą latarkę elektryczną. Przy jej pomocy zbadał jak najdokładniej szkłem powiększającem dno i ściany boczne szafki, przyczem wsuwał głowę głęboko do dolnego przedziału, Wyciągnąwszy ją, uczuł, że coś go łaskota w tył głowy. Skierował światło ku górze i odkrył że z przeszkody drucianej wystaje całe mnóstwo cieniutkich drucików stalowych. Przykuły one jego uwagę do tego stopnia iż wpadło to w oczy księżnej.

— O! — zawołała — to nic nie znaczy. Tę drobną usterkę w przegrodzie drucianej zauważyłam od początku; siatka musi być w tem miejsbu trochę uszkodzona.

Wystające końce i mnie chwytały za włosy. Z początku chciałam dać siatkę naprawić, ale potem o tem zapomniałam i nie zwracałam nawet uwagi. Prawdopodobnie przyzwyczaiłam się zwracać głowę na bok.

Beck nic nie odrzekł. Wsadził jeszcze raz głowę do dolnego przedziału i jeszcze troskliwiej niż poprzednio zaczął badać boczne ściany i dno.

— Czy oprócz księżnej ma jeszcze kto do czynienia ze szafką? — spytał po dłuższej pauzie.

— Nie, panie Beck — rzekła mała kobietka, która czekała niecierpliwie, aż wreszcie detektyw po raz ostatni wyciągnął głowę i zamknął prąd w latarce.

— Teraz wiem już wszystko, co mi ma do powiedzenia szafka — zauważył Beck. — Jego historya jest bardzo zajmująca; ale tymczasem muszę ją zatrzymać dla siebie.

— Jeżeli tedy sprawa tak się przedstawia i szafka nie ma panu nic do powiedzenia — odparła księżna trochę zniechęcona — mój mąż bardzo się ucieszy, jeśli pan zechciałby zjeść razem z nim śniadanie w bibliotece. Wybaczy pan zapewne moją nieobecność. Mój szwagier wraca nocnym pociągiem do Londynu i muszę wszystko przygotować do jego odjazdu.

Podczas gdy Beck ze smakiem zabrał się do śniadania, okazywał książę bardzo mały apetyt.

— Jakże sprawa stoi, panie Beck, — zapytał — czy znalazł pan jaki trop?

Beck wypił z wielkiem zadowoleniem łyk madeiry, a potem odparł,

— Znajduje się zawsze aż za dużo tropów książę; cała trudność leży w tem, by je rozwikłać.

— Czy na podstawie dotychczasowych badań nie mógłby mi pan wyjaśnić, jak jest pańska teorya co do tej zbrodni.

— W całem życiu nie miałem jeszcze żadnej teoryi zajmuję się aktami. Jeżeli zacznie się od teoryi, można łatwo popełnić ten błąd, że dostosowuje się do niej fakta, a faktom nie można zadawać gwałtu. Praca detektywa nie ma naukowego podłoża; podobna jest raczej do „ciuciubabki". Maca się to tu, to tam. Jeżel wyrżnie się głową o mur, wraca się próbuje gdzieindziej, dopóki nie złapie się człowieka, za którym się goni.

— Co by też na to powiedział pański przyjaciel Rose? Traktuje on tę sprawę czysto naukowo.

— Mój książę! Pamiętam że raz jako chłopiec czytałem jakąś bajkę o kraju, gdzie do ludzi zastosowuje się miarę naukową; mierzono człowieka krzyżownicą i obliczano potem trygonometrycznie jego wysokość, szerokość i grubość. Ano, co kto woli! Mnie tam już wystarczy zwyczajny centymetr.

— Jak na tak zręcznego detektywa, ma pan przecież trochę za małe mniemanie o swym zawodzie.

— Nie jestem ani mądry, ani zręczny, książę; ale może właśnie dlatego mam powodzenie. Tajny ajent łatwo może się stać zbyt mądry. Tresowany pies jest także bardzo zręczny i jego sztuczki wyglądają wcale ładnie, ale mimoto nie nadaje się on do tego by złapać lisa.

— A czy pan może złapać lisa, o którego nam chodzi, panie Beck.

— Spodziewam się, że znalazłem już jego ślad, więcej nie mogę teraz powiedzieć.

— Jak długo może pan tu zostać?

— Muszę wrócić nocnym pociągiem do Londynu. Jest to wogóle celowe aby złodziej czuł się bezpieczny i zapomniał — względnie zapomniała — ostrożności. Mam w Londynie ważną sprawę do załatwienia, której nie mogę odłożyć.

— Nocnym pociągiem? W takim razie jedzie pan razem z moim bratem.

— Wiem o tem. Księżna mi to powiedziała. Przypuszczam, iż wolno mi będzie jechać w tym samym przedziale. Niech mi książę pan nie bierze za złe, ale bardzo mi się podoba jego brat. Jest mądry; roztropny i zręczny! słowem, jest w sam raz człowiekiem, który może mi pomóc w tej pracy.

— Zapewne, z radością panu pomoże, ile tylko będzie mógł, gdyż ta nędzna historya jest dlań równie męcząca jak dla nas. Mieszka w Londynie niedaleko St. James Park'u i odląd porzucił służbę wojskową, może dowolnie rozporządzać czasem.

Nie będę go niepotrzebnie trudził, ale i tak miło mi wiedzieć. że w razie potrzeby mogę na niego liczyć.

Herbert Sewyn osobiście odnowił przyrzeczenie chętne pomocy, które za niego złożył brat.

— Niech pan mnie uważa za ucznia, panie Beck — rzekł żartobliwie. — Jestem gotów iść wszędzie i uczynić wszystko, aby tylko panu pomódz odzyskać opal lub złapać złodzieja,

Co się tyczy złodzieja, to naturalnie jestem zdania, że nie potrzebnie go pan szukać dalej jak w areszcie, gdzie siedzi Makhan.

Herbertowi było nadzwyczaj miło podróżować w towarzystwie Becka, przeto zamienił swój „sleeping" na przedział pierwszej klasy dla palących. Konduktor otrzymał suty napiwek żeby nie wpuszczał obcych i obaj panowie palili i gawędzili przez całą drogę. Beck naturalnie miał niejedną historyę do opowiedzenia, która zajmowała jego towarzyszą, ale główny temat rozmowy stanowił przecież skradziony opal. O nim rozprawiali najdłużej i najszczerzej i ajent wyznał otwarcie, że zawdzięcza swemu towarzyszowi kilka pożytecznych wskazówek. Atoli przekonanie Herberta że Markhan jest złodziejem. zachwiało się nieco wskutek wątpliwości Becka co do tego punktu. Kiedy żegnali się na dworcu, brat księcia życzliwie uścisnął dłoń ajenta.

— Oto mój bilet — rzekł. — Niech pan nie zapomnie, że każdej chwili stoję do usług, jeżeli pan będzie potrzebował mej pomocy.

— Nie zapomnę o tem — odparł Beck.

Ale zdarzyło się, że Beck miał pierwszy sposobność pomóc mu w kłopocie.

Drugiego dnia po przyjeździe, Herbert wstąpił do teatru Empire na ostatnią część przedstawienia. Kiedy opuszczał wśród ścisku salę, uczuł nagle, że ktoś chwycił go za prawą rękę. Oglądnął się i ujrzał przysadkowatą panią średniego wieku, ubraną w czarną półjedwabną suknię i z wielkim, ozdobionym kwiatami kapeluszu na grubej głowie. Kobieta zaczęła natychmiast krzyczeć ze wszystkich sił o pomoc. „Trzymajcie złodzieja! Trzymajcie złodzieja!" przyczem rozpaczliwie wymachiwała parasolką w powietrzu. Napastowany wyrwał się w prawdzie natychmiast, ale w mgnieniu oka został otoczony tłumem ludzi.

— Co się pani stało? — spytał wysoki mężczyzna, wyglądający na rzemieślnika.

— Ten drab zwędził mi kieskę — krzyczała wzburzona. — Miałam w niej dziesięć szylingów i drobne. Zaraz poczułam w kieszeni szarpnięcie i w okamgnieniu ucapiłam jego rękę. Na pomoc! Na pomoc!

Dwaj policyancie oświetleni łątarnią gazową, górując głowami nad tłumem przeszli z właściwą sobie godnością na drugą stronę ulicy. Tłum rozstąpił się przed nimi niby fale przed dziobem statku.

— Co tu za hałas? — spytał surowo jeden z przedstawicieli prawa.

— Oskarżam go, panie sierżancie! Oskarżam go! Złapałam go z ręką w mojej kieszeni! Ukradł mi brązową kieskę z mosiężnym zamkiem, wszędzie ją rozpoznam.

— Co pan na to wszystko? — spytał sierżant oskarżonego.

— O! Niechże pan nie będzie głupcem — zawołał szlachetny Herbert trochę nieostrożnie w podniesieniu.

Ale teraz przedstawiciel zwierzchności rozsierdził się.

— Panie! Zobaczy pan na policyi, kto jest głupcem. Umiem ja się obchodzić z ludźmi pańskiego pokroju. Lepiej byłoby dla pana posługiwać się grzeczniejszą mową — dla własnego dobra. Czy pani oskarża tego pana?

— Naturalnie, że go oskarżam. Rozumie się! Niech pan trzyma mocno tego wystrojonego draba, panie sierżancie! Choćbym konała na miejscu, oskarżam go.

Wtedy ciężka ręka prawa spadła na ramię Herberta Selwyna, który mimowoli zacisnął pięści.

— Tylko spokojnie niechno pan idzie! — rozkazał sierżant, poruszając znacząco laską urzędową. — Niech pan pójdzie po pobremu — nie, to pójdzie pan po przemocy! Co pan woli - dość, że pan iść musi.

— Czy wie pan kim ja jestem?

— Wcale nie potrzebuję wiedzieć.

— Nazywam się Herbert Selwyn, jestem bratem księcia Sonthern.

Tłum wybuchnął szyderskim śmiechem.

— Dlaczegóż nie odrazu księciem Walyji, to na jedno wychodzi! — krzyknął jakiś głos.

— Oto mój bilet!

Sierżant wyciągnął niewierząco rękę, ale szlachetny Herbert szukał nadaremno. W każdym razie jego kieszeń obrabowano. Pulares był wprawdzie na swojem miejscu, ale brakowało „etui" z biletami.

— No mamy już dość tych żartów — ofuknął go sierżant. — Dokoñczy pan na policyi; naprzód! Herbert opanował się.

— Widzę, że ta głupia komedya musi się skończyć, im wcześniej się zacznie, tem prędzej będzie koniec — jestem gotów.

— — — — — — — — — — — —

Tłum okazywał dość dużą ochotę, aby przyłączyć się do procesji idącej na policję; ale sierżant skinął na dorożkę. Na policyi starsza pani mówiła bardzo żywo i wymownie, podczas gdy Herbert traktował całą sprawę z obojętną pogardą. Oskarżenie spisano i zbadano oskarżonego z największą starannością. Wyszło na wiatło dzienne pół suwerena, które wpadło za podszewkę kamizelki. Zresztą nie odkryto niczego podejrzanego. Ale żaden policyant nie przyznaje się do pomyłki, jeżeli tego może uniknąć. Jedna noc w areszcie śledczym wydawała się dla arystokratycznego Herberta nieuniknioną.

Ale właśnie w tej chwili, gdy ukończono badanie i wszystkie rzeczy Herbe ta leżały na sosnowym stole w biurze policyjnym, usłyszał on jakiś znany głos rozmawiający w przedpokoju z inspektorem.

— Jakże tam dzisiaj wieczór?

— Nie wydarzyło się nic ważnego, panie Beck — brzmiała odpowiedź. — Tylko przed teatrem Empire złapano jakiegoś szczwanego draba, który wsadził rękę do kieszeni jednej starej damy. Rezolutna baba! Ucapiła go na miejscu i nie puściła. Ale on także nie w ciemię bity, bo trzeba przyznać, przysięga się, że jego nazwisko brzmi: spojrzał na notatki — Herbert Ulryk Selwyn, brat księcia Sonthern. Zna pan może takiego człowieka, panie Beck?

— Oj, inspektorze, lękam się, że stało się coś niedobrego — zauważył sucho Beck i nie wdając się dalej w rozmowę, wszedł do biura.

— Witam pana, panie Beck! — zawołał oskarżony. Rzeczywiście, bardzo się cieszę, że pana tutaj widzę.

— Co panu wpadło do głowy! — rzekł Beck do sierżanta. Czy pan wie, że to rzeczywiście brat księcia Sonthern?

— A niech sobie tam będzie i samym księciem — mruknął sierżant nawpół trwożnie a na wpół zgryźliwie. — Kiedy ta stara pani go oskarżyła, ob wiązkiem moim było go zaaresztować.

— Jesteście durniem, sierżancie — odrzekł śmiejąc się Beck. — Pocóż, u licha, ten pan miałby kraść tych parę groszy jakiejś tam starej pani? A zresztą, gdzież ona jest?

Jak się później okazało, wymknęła się tymczasem nie zauważona przez nikogo.

— Nawarzył pan sobie ładnego piwa, sierżancie — rzekł Beck.

— Niechże pan da spokój temu biedakowi — wstawił się za nim dobrodusznie Herbert. — Chciał tylko spełnić swój obowiązek. Ma pan tutaj pół suwerena za fatygę. sierżancie. Weźcie go sobie przyjacielu! Ma pan do niego najzupełniejsze prawo, ponieważ, gdyby nie pan, nie bylibyśmy go nigdy znaleźli.

Gdy Herbert Selwyn w towarzystwie Becka opuszczał komisaryat policyi, dzwony londyńskie głośnem biciem dzwoniły północ.

— Jakże wdzięczny jestem panu! — zawołał Herbert. — Gdyby nie pan, musiałbym pozostać całą noc w tej dziurze.

— Nie ma mi pan wogóle za co dziękować — odparł Beck.

— Juz tam ja wiem lepiej. - Czy pan dzisiaj wieczór ściga jeszcze jaką zdobycz? Czy goni pan za jakim zuchwałym złoczyńcą? Nie? No, w takim razie pójdzie pan do mnie. Wypijemy sobie co i za alimy razem cygaro. Jeżeli pan nie ma nic przeciwko temu pojdziemy lepiej pieszo, chciałbym odetchnąć trochę świeżem powietrzem, wyzwoliwszy się z tej gorącej dziury. A o opalu nic nowego dzisiaj — co?

Zdaje mi się, że przecież postąpiłem w tej sprawie o jeden krok.

— A, do licha! To mnie cieszy! Bliższych szczegółów pewnie nie wolno wiedzieć? Ze względu na księżnę mianowicie jestem djablo ciekawy.

— Obiecuję panu, że pan z pierwszych dowie się o tem, jeżeli złapię złodzieja.

— Ślicznie dziękuję. Ale oto jesteśmy na miejscu, niech pan uważa — tutaj cztery schody.

Wsadził klucz do zamku i obaj weszli do „hall'u".

— Winda już nie idzie. Ale to tylko drugie piętro, schody panu nie zrobią różnicy.

Herbert zaprowadził towarzysza po szerokich, wyścielonych dywanem schodach na górę. Gdy otworzył drzwi do swego mieszkania i zastał pokój całkiem ciemny wyrzucił niecierpliwe, ale nie w złej myśli wypowiedziane przekleństwo.

— Kazałem przecież służącemu nie skręcać nigdy gazu. Nigdy nie mogę znaleść lampy albo zapałek.

Beck spokojnie wydobył z jednej kieszeni pudełko zapałek, a z drugiej latarkę elektryczną.

— Z pana przecież czarodziej, panie Beck — zauważył ze śmiechem Herbert, zapalając jakie pół tuzina płomieni. Pokój był duży i umeblowany z wykwintnym smakiem; urządzenie stanowiły stare miedzioryty i obrazy olejne na ścianach, starożytny, solidny garnitur mahoniowy obity adamaszkiem w kwiaty i gruby, miękki dywan na podłodze.

— Jednak niema nic lepszego nad elektrykę — rzekł Herbert, gdy Beck zgasił latarkę i wsunął ją napowrót do kieszeni. — Zamówiłem już robotnika, który jutro rano ma założyć w moim pokoju oświetlenie elektryczne.

— Od firmy Voltage & Brigkt? — spytał Beck.

— Tak. Zna pan tę firmę?

— Mówiono mi, że to pierwsza firma w Londynie i że stoi na bardzo wysokim poziomię. W moim zawodzie człowiek musi się potroszę znać na wszystkim. Mordercy i włamywacze — przynajmniej pierwszej klasy — zaczęli już studyować elektryczność i my nie możemy zostać w tyle.

— Czy mogę panak prosić na szklankę „whisky"? Sprowadzam go wprost z Irlandyi.

Beck rozkoszował się starem, irlandzkiem „whisky" i wyborowem cygarem hawańskiem, siedząc oparty w wygodnym fotelu — obraz zupełnego zadowolenia.

— W najbliższych dniach przybywa tutaj książe — rzekł Herbert, zapaliwszy cygaro. — Pojutrze zamyśla przyjechać do Londynu razem z księżną. Ucieszy się słysząc, że pan już na tropie opalu.

— Czy pozostanie przez dłuższy czas w mieście?

— Tylko jeden dzień — za interesem. Zamieszka w hotelu Wiktoryi, ale przyrzekł zjeść u mnie śniadanie. Spodziewam się, że do tego czasu elektryczne oświetlenie będzie gotowe; moja bratowa szaleje formalnie za niem. Chce skłonić księcia, aby w Holmhurst zaprowadził elektrykę. Firma Voltage & Brikt obiecała, że przyszle urzędnika, który im wszystko pokaże. To byłoby znaczne zamówienie dla firmy. Czy pan nie wstąpi do mnie w czasie pobytu księstwa? Oboje byliby radzi usłyszeć pańskie sprawozdanie.

— I owszem, jeżeli się tylko da; ale przypuszczalnie będę miał bardzo dużo do roboty, lepiej przeto niech mnie pan nie oczekuje napewno.

— W każdym razie, jeżeli pan przyjdzie, bardzo się ucieszymy. Niech pan weźmie sobie cygaro na drogę. Znajdzie pan drogę? — Dobranoc i serdeczne dzięki — właściwie powinienem powiedzieć dzień dobry.

Przez cały następny dzień robotnicy byli zajęci zakładaniem elektryki w mieszkaniu Herberta Selwyna. Kiedy wrócił o siódmej do domu, aby się przebrać do stołu, zastał jeszcze mechanika. Był uczciwie wyglądający mężczyzna średniego wieku, którego dosyć tępa, ordynarna twarz, była otoczona czarną, kędzierzawą brodą.

— Kiedy pan skończy? — spytał Herbert.

— Prawdopodobnie jutro rano.

— Tak prędko? Chciałbym jutro popołudniu o wpół do piątej mieć tu technika.

— Dobrze. Mówiono mi już o tem. Przyjdę sam.

— Zdaję się na to, że pan rozumie swój zawód!

— Może pan śmiało.

— Niech pan wprowadzi wszystkie najnowsze urządzenia. Oczekuję tutaj jednej pani — księżnej Sonthern — która chętnie chciałaby zobaczyć najnowsze zdobycze elektryczności.

— Spodziewam się, że będę mógł zadośćuczynić oczekiwaniom księżnej.

— Pół do piątej — niech pan nie zapomnie

— Stawię się punktualnie, napewno.

— — — — — — — — — — — —

Śniadanie upłynęło bardzo miło i księżna była nad wyraz uszczęśliwiona. Pozamykano okiennice i na jej cześć oświetlono pokój elektrycznością, co wzbudziło u niej wielki podziw. Książę zwierzył się bratu, że po raz pierwszy od zniknięcia przeklętego opalu widzi śmiech na jej ustach.

— Omało serce jej nie pękło nad zmartwieniem Łucyi.

Kiedy przybył technik, wysłany przez firmę Voltage & Brigkt, księżna nie wytrzymała już ani chwili przy stole, gdzie obaj panowie zajęci byli właśnie żywą rozmową o szansach faworyta stajni książęcej podczas wyścigów Derby. Przebiegła lekko i żywo przez pokój a technik firmy Voltage & Brigkt szedł za nią ociężałym, powolnym krokiem.

— Ach! Herbercie — zawołała w zachwycie młoda kobieta — co za śliczne biurko posiadasz! Wygląda tak starożytnie i cudownie, że pewnie ma ogromną ilość tajemnych skrytek.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Miesiąc wędrówki po Polsce: Typy z kolonii anglosaskiej.

które w poprzednich numerach przedstawiliśmy już naszym Czytelnikom.

Zdaniem członka w tej ekspedycyi filmowej Kraków nadaje się szczególnie do filmu ze swą piękną architekturą, widokami i zabytkami. Najlepsze rezultaty zdjęć osiągnięte zostały z kopuły kościoła św. Piotra i ze szczytu wieży OO. Pijarów. Gołębie na placu Marjackim z dziećmi ich karmiącemi przypomina Plaza de St. Marco Wenezia. Między innymi pan W. Tetmajer okazał wiele cennej pomocy i dzięki niemu uzyskał film prawdziwe krakowskie wesele w Toniach.

Przedstawiciele Towarzystwa zaproszeni byli na wesele krakowskie, gdzie uczestnicy nic nie wiedzieli o filmie. Dopiero Krakowiacy rozweseleni, tańcząc Krakowiaka, spostrzegli się, że aparat pracuje. Nie zraziło ich to jednak wcale, owszem dodało ochoty i animuszu.

W niniejszym numerze reprodukujemy z poprzednich wędrówek C. E. P. S. po Polsce kilka pięknych zdjęć.

Widzimy tam urodziwe góralki z okolic Rabki, typowe krasawice z pod Kołomyi, hucułki od Kut jeżdżące po męsku (okrakiem) na swych małych konikach, na których przewożą po stromych górach żętycę w beczkach. Wreszcie podziwiać możemy i narodową huculską muzykę, złożoną ze skrzypiec i specyalnego ich instrumentu t. zw. „kobzy“. Jest to koźla skóra zaopatrzona piszczałkami, a nadęta i naciskana palcami wydaje charakterystyczne, smętne tony.

Z PÓŁEK KSIĘGARSKICH.

(W rubryce tej omawiane bywają jedynie wydawnictwa i publikacye nadsyłane Redakcyi).

Konstanty Krumłowski: *„Królowa przedmieścia“, „Białe fartuszki“, „Śluby dębnickie“, „Przewodnik tatrzański“, „Zbiór komedyjek“.*

(M. D.) — Zdawało się, że ze śmiercią Anczyca zamilknie zarazem i ludowa Muza teatralna. Śpiewna sztuka reprezentowana jeszcze przez współczesnego Anczycowi Staszczyka i Dominika — traciła coraz bardziej kredyt i zaufanie u publiczności, a po ustąpieniu i tych pisarzy z areny teatralnej zanikła prawie zupełnie, co częściowo przypisać należy i brakowi specyalnej ludowej sceny.

Wtedy to (lat 30 temu) wśród wszechwładnego panowania na scenach polskich — wiedeńskiej operetki — pojawia się na afiszu „Letniego teatru“ — „Królowa przedmieścia“ nieznanego wówczas jeszcze w teatrze młodego autora Konstantego Krumłowskiego.

Sztuka zdobywa niebywałe powodzenie i rekord cyfry przedstawień, jakiego dotychczas scena polska nie znała (120 przedstawień z rzędu). Piosnki



Miesiąc wędrówki po Polsce: Typy z kolonii anglosaskiej.

i dowcipy z „Królowej“ przeszły momentalnie prawie w usta ludu, a katarynki wygrywały po podwórzach skoczne tony polki „Rach-ciach-ciach“, kuplety fiakra i melodyjny a rzewny śpiew flisaków.

Sztuka po przeszło ćwierćwiekowem bytowaniu na śpiewnych scenach polskich — do dziś dnia nie straciła nic ze swej atrakcyjnej siły, a, co ważniejsza fenomenalnem swem powodzeniem dała pohop i zachętę i innym autorom do pracy dla sceny ludowej.

„Królowa przedmieścia“ stworzyła w historyi teatru ludowego nową erę — restutouwanego wodewilu polskiego, a jest to najważniejsza i niepoślednia zasługa tej sztuki i jej autora.



Miesiąc wędrówki po Polsce: Młodzież żydowska z dzielnicy krakowskiej „Kaźmierz“.

Krumłowski po tych pierwszych a tak bujnych laurach nie zaniedbał dalszej pracy dla ludowej sceny.

Z pod pióra jego wyszły w dalszych latach *„Śluby dębnickie“* wodewil osnuty na tle życia rybaków nadwiślańskich, świetne i nadzwyczaj scenicznie ujęte *„Białe fartuszki“* z życia służby domowej, gdzie trafna obserwacya i znakomicie ujęte typy walczą o pierwszeństwo z wyborną techniką, dowcipem i żywością akcyi.

W jakiś czas wystawia Krumłowski wesołego „Przewodnika tatrzańskiego“, wodewil osnuty na tle życia górali zakopiańskich. Ostatnio wyszedł drukiem *„Zbiór komedyjek“* tegoż autora. Są to przeważnie fragmenty z zakresu satyry scenicznej.



Miesiąc wędrówki po Polsce: Typy wieśniaczek z Bronowic pod Krakowem.

Wszystkie te rzeczy w liczbie 5 tomików wyszły obecnie z druku nakładem księgarni *„Wiedza i Sztuka“* (Kraków, ulica Gołębia) a każda sztuka zaopatrzona nutami do śpiewu, portretem autora illustracyami ważniejszych scen.



Miesiąc wędrówki po Polsce: Narodowa muzyka huculska: kobza i skrzypce.

Księgarnia „Wiedza i Sztuka“ wydała utwory Krumłowskiego nader starannie, co w dzisiejszych czasach tak ciężkich dla książki wogóle — wydawcy za zasługę policzyć należy.



Miesiąc wędrówki po Polsce: Pątnicy w ekstazie u progu świątyni.



Miesiąc wędrówki po Polsce: Urodziwe góralki z okolic Rabki.



Miesiąc wędrówki po Polsce: Krasawice z pod Kołomyi.



Miesiąc wędrówki po Polsce: Hucułki od Kut przewożące konno żętycę w beczkach.



Najmłodsza pianistka w Polsce: Znakomita nauczycielka panny Szrombównej prof. L. Grodzicka.

Wielki pożar w Jamnicy.

(Od naszego korespondenta).

Plaga pożarów nawiedza w ostatnich czasach zbyt często Województwo Stanisławowskie, pociągając za sobą nieobliczalne wprost straty. Ostatnio we czwartek 26. października b. r. zostaliśmy zaalarmowani wielkim pożarem w Jamnicy, o 10. klm. od Stanisławowa, gdzie natychmiast udał się tren stanisławowskiej Miejskiej Straży Pożarnej z naczelnikiem Voelplem, zabierając ze sobą parową sikawkę, jakoteż sprowadzając jeszcze potem dwuprądową sikawkę ręczną systemu Knausta. Do ekspedycyi tej dołączył się również współpracownik naszego pisma z fotografem, biorąc na miejscu czynny udział w akcyi ratowniczej.

Jak twierdzą naoczni świadkowie pożar powstał od iskier lokomotywy pociągu, jadącego ze Stanisławowa do Lwowa o godz. 2-giej w poł. Pięć minut po przejściu pociągu, zajęły się naprzód szuwary obok toru, z których wiatr przerzucił płomień na chaty. W mgnieniu oka stanęło w płomieniach przeszło dwadzieścia domów mieszkalnych, stodół ze zbożem, stajen i innych budynków, jakoteż czternaście stogów pełnych zboża.

Z powodu huraganowego wprost wichru, który przerzucił ogień z Jamnicy na Uhorniki, nie było wogóle mowy o jakiejś akcyi ratunkowej, chodziło tylko o zlokalizowanie ognia i zabezpieczenie domów sąsiednich, co też naczelnikowi Voelplowi w zupełności się udało.

Około godziny 7·30 wiecz. przybyła również ze Stanisławowa: Kolejowa Straż Ochotnicza z dwoma sikawkami, pod komendą p. Niedźwieckiego i pracowano wspólnie aż do piątku 26. X. br. rano.

Szkody narazie obliczono na 80 miliardów. Strat w ludziach i inwentarzu żywym nie było. Śledztwo w toku. Zdjęcia fotograficzne zamieszczone w dzisiejszym numerze, jakoteż wiele innych, wykonanych przez p. Marjana Jędryka wystawiła nasza. Reprezentacya Redakcyjna na widok publiczny.



Wielki pożar w Jamnicy: Widok spalonych domów widziany od strony południowej (strony dworca kol.).

Najmłodsza pianistka polska.

(Panna Zofia Szrombówna)

Młodziutkie dziewczę, niepospolitej urody, panna Zofia Szrombówna uczennica znakomitej mistrzyni Ludwiki Grodzickiej — zapowiada się już dziś jako wybitny talent wirtuozowski. Znawcy rokują jej przyszłość kolosalną. I my mieliśmy sposobność słyszenia kilkakrotnie gry panny Zofii i skonstatować u niej musimy niezwykły czar i poezyę w interpretowaniu wielkich mistrzów, zwłaszcza Bethovena, Chopina i Liszta.

Przy tej sposobności godzi się też parę słów nadmienić o jej mistrzyni i preceptorce p. prof. L. Grodzickiej. Znana pianistka i wirtuozka, wykształciła cały szereg pianistek i pianistów i co roku z pod jej doświadczonego kierownictwa wychodzą świetnie prowadzone talenta muzyczne. P. Grodzicka jest członkiem wielu polskich i zagranicznych instytucyi artystycznych i humanitarnych. Inicyatorką i kierowniczką przeszło 130 programów muzyki kościelnej odbytych na dochód odbudowy kopuły św. Piotra, prezesową Polskiego Związku muzyczno-pedagogicznego, aranżerką niezliczonej ilości koncertów na cele humanitarne, którym poświęca od lat kilkunastu każdą wolną chwilę. Również podczas wojny światowej była duszą wszelkich akcyi dobroczynności wojennej jak i komitetu Obrony Państwa.



Najmłodsza pianistka w Polsce: Panna Zofia Szrombówna.

Teatr im. Juliusza Słowackiego.

ŚWIĘTY

misterjum w 3 aktach L. H. Morstina.

(Kr.) — P. Morstin opierając się na kredycie jakim rozporządza u publiczności — zaryzykował wystawienie rzeczy, która z pewnością autorowi laurów, a Dyrekcyi wpływów kasowych nie przysporzy. Teza, jaką stara się w swym „Świętym" przeprowadzić jest niejasna i niekonsenkwentna, fabuła mało zajmująca. Najładniejsze ze wszystkiego były dekoracye.

Misteryum sceniczne powinno mieć przedewszystkiem nastrój i powagę a w tym względzie praca p. Morstina niedomaga. „Święty", który będąc „rycerzem" wchodzi między nędzarzy, ucztuje z biskupami, potem ciska krzyżem o ziemię, obraża biskupa, by go potem przeprosić — zasługuje raczej na miano waryata a nie świętego.

Na usprawiedliwienie Dyrekcyi można przytoczyć, że misteryum było wystawione w „Zaduszki" i że występują także uświęcone tradycyą Raupachów — „duchy".

Z Teatru Opera i Operetka.

SZALONA LOLA

operetka w 3 aktach Hugona Hirscha.

Zdaje się, że wreszcie po długich borykaniach na wzburzonych nurtach grymaśnych gustów publiczności — trafiła Dyrekcya teatru przy ulicy Rajskiej do przystani, co prawda na razie — operetkowej tylko.

Wystawiona onegdaj po raz pierwszy „Szalona Lola" podobała się ogólnie, a to bez kwestyi dzięki w pierwszym rzędzie wybornemu wykonaniu.

Muzyka w „Loli" jest lekka, wodwilowa zaleca się melodyjnością i bezpretensyonalnością, choć oryginalności w niej nie wiele (powszechna wada najnowszych operetek).

Libretto opiewa farsowe przygody zięcia i teścia, czcicieli lekkomyślnej ale wesołej i „poczciwej"(!?) baletnicy z asystą również nie nowych figur operetkowych jak impresarya teatralnego, zazdrosnej teściowej, i t. p. Świetnie reprezentowała się wytyłułowej roli p. Marya Szczęsna, mając wybornego partnera w osobie p. Sempolińskiego, który bodaj czy nie zastąpi w operetce ulubieńca krakowskiej publiczności Minowicza.

Kapitalnym jako teść, podstarzały amant był p. Ujhelyi, a teściową Agatę oddała p. Leszko z prawdziwie farsowem zacięciem. P. Karasiński jako Duriano impresario dokazywał cudów humoru

Na pochwałę zasłużyli pp. Czerniewska, Laskowski, pani Kranus, Bojnarowski i Kwiecińska oraz panna Martówna i p. Wojnar za precyzyjne odtańczenie walca w drugim akcie.



Wielki pożar w Jamnicy: Widok na stertę spalonego zboża i zabudowań.

ZAKOŃCZENIE KONKURSU PIĘKNOŚCI

Baczność! Uchwałą Artystycznej Komisyi Konkursowej z dnia 14 b. m. termin nadsyłania wniosków głosowania naznaczono nieodwołalnie:

na czwartek 15 listopada

Głosy, które wpłyną po tym terminie zostaną bezapelacyjnie unieważnione. W niedzielę 18 listopada zbierze się **Artystyczna Komisya Konkursowa** na swe ostatnie posiedzenie i z dziesięciu pań, które otrzymają największą ilość głosów przyzna trzy nagrody.

Od uchwały Artystycznej Komisyi Konkursowej nie ma odwołania ani do **Ligi Narodów**, ani do **Rady ambasadorów**, ani też do trybunału wojennego **w Hadze**.

Spieszcie się więc!

Termin nadsyłania głosów zbliża się z dniem każdym!

Wyniki głosowania

UWAGA. Głosy mogą być jedynie nadsyłane na **Kartkach głosowania** umieszczonych na **12 stronie** „Nowości Illustr.“ oraz muszą być zaopatrzone własnoręcznym podpisem głosującego. Z powodu nie zastosowania się do powyższego rygoru, została duża ilość głosów nadesłanych nieformalnie unieważnioną. *Artyst. Komisya Konkursowa.*

1. Dunja Cahanesio Kutno głosów 405.
2. Janina Zawierska Lwów głosów 400.
3. Wiosna (pseudonim) Lwów głosów 399
4. Irena Świątkówna Wilno głosów 395
5. Skalska art. dram. Kraków 390.
6. Wanda Mich... Chicago-Illunów.
7. Marya Kwiatkowska Poznań głosów 382
8. Gercia Ziółkowska Bydgoszcz głosów 377.
9. Stanisława Czyżowa Ustrzysko głosów 373.
10. Olga Prawdzic (pseud.) Warszawa 370.
11. Marya Pruszyńska Poznań głosów 364.
12. Hanka Suligowska Kraków głosów 362.
13. Bronka Rewska Kraków głosów 360
14. Olga Gotarowa Warszawa głosów 358.
15. Janka Gidlewska Krosno głosów 353.
16. Inż. Hanka Mysłowiczowa Kraków 350.
17. M. Buchowiecka Kraków głosów 348.
18. Lidia Wądrzykowa Kraków głosów 343.
19. Aldona Zabłocka Warszawa głosów 340.
20. Anna Zajączkowska Sosnowiec głosów 336.
21. Marya Gorajska art. Bag. Kraków 335.
22. Leokadja Sarnowska głosów 333.
23. Narcyz (pseudonim) Ziemia Lubelska 331.
24. R. Kosicka Poznań głosów 329.
25. Serafina Swattler Kraków głosów 328.
26. Anna Nowakówna Warszawa głosów 325.
27. Lili Kurpielówna Wilno głosów 322.
28. Halina Thomasówna Ciechocinek 319.
29. Stanisława Marenin Krosno głosów 318.
30. Zofia Majer Lwów głosów 305.
31. Emma Majer Lwów głosów 304.
32. Maryla Łuczkówna Warszawa 299.
33. Zofia Konorówna Drochobycz głosów 297.
34. Nina Polińska Warszawa głosów 280.
35. Helena Okolska Lublin głosów 279.
36. Janina Willmanowa Nowy Sącz głosów 277.
37. Marya Domańska Inowrocław głosów 273.
38. Irena Petineti Bydgoszcz głosów 271.
39. Marya Ramecka Bydgoszcz głosów 270.
40. Marya Pyszyńska Poznań głosów 265
41. Kamila Bojnarowska Kraków głosów 260.
42. Niuśka Krakowska Warszawa głosów 248.
43. Jadwiga Ackerman głosów 237.
44. Iga Uralska Warszawa głosów 220.
45. Zofia Adamkiewiczówna Kraków 218.
46. Lucylla Sowińska Bydgoszcz głosów 200.
47. Marya Kwiatkowska Poznań głosów 153.
48. Helena Nałęcz Gębicka Lwów głosów 138.
49. Maryla Kosińska Łódź głosów 129.
50. Cecylia Orwid-Brodzińska głosów 120.
51. Emilia Bogdanowicz głosów 113.
52. Janina Łęczyńska Kraków głosów 110.
53. Julia Nennkówna głosów 109.
54. Jadwiga Pompianka głosów 107.
55. Helena Włodarczyk głosów 105.
56. Zofia Silleinerówna głosów 101.
57. Marya Dużyńska głosów 99.
58. Jadwiga Chęcińska głosów 98.
59. Taida Wodzicka głosów 95.

Wspomnienia o Konkursie.

Będąc zaproszony na herbatkę do bardzo zacnego i sympatycznego domu, byłem świadkiem przemiłej rozmowy i wspomnień pewnej czcigodnej babuni. Ach! co to była za babunia. Mimo sędziwego wieku i białych jak śnieg włosów o dziwnie jasnej i promieniejącej uśmiechem twarzy. Ta dobra babunia miała dla wszystkich słowa pociechy i przebaczenia i stąd ten wyraz twarzy tak każdego pociągający i wzbudzający zaufanie. Zaczęliśmy rozmowę o „Konkursie piękności“ a ponieważ w towarzystwie owym było kilka pań interesujących się tem bardzo, wiec zaczęliśmy przeglądać numery od rozpoczynajecego Konkurs.

— Doprawdy. jakie to interesujące — nawet nie myślałem. — No ale od czegóż towarzyszące mi kobiety. Przekonałem się, że dobrze robią mężczyźni nie urządzając konkursów piękności (chociaż muszą być ładni skoro się kobietom podobają). Ładnieby z tego wyszli. Jakaż okrutna i bezlitosna jest krytyka kobiet — o — przekonałem się, że najokrutniejszym sądzią w konkursie byłaby właśnie przedstawicielka płci pięknej. Ale na szczęście kochane laureatki uspokujcie się — ani jedna kobieta nie zasiądzie w Komisyi artystycznej — ani jedna

Słysząc nasze spory o oczy, usta, noski, czoła, włosy — przezacna babunia przerywa nam, obiecując opowiedzieć coś wesołego.

— Moi drodzy — powiada — uśmiejecie się, gdy wam opowiem jakie przygody miała pewna młoda osoba nagrodzona na konkursie piękności. Ale to już dawno — dawno kiedy to ja jeszcze byłam młoda.

Stanęło do komkursu parę set kobiet różnych wiekiem i urodą, od podlotków do kobiet w pełni rozkwitu. Zainteresowanie było wielkie. Dzień, w którym miała rozstrzygnąć Komisya, był dla tych osób specyalnie nastrojowy. Na ukazanie się numeru czekano przed redakcyą, miał to być pierwszy zwiastun szczęśliwie wybranej.

No i wybrano!

Z paruset kobiet jedną — tylko jedną — bo tak było zapowiedziane. Pismo wyrywano sobie poprostu z rąk, aby tylko najprędzej dowiedzieć się która jest tą szczęśliwą wybranką.

Wybranką — tak — ale czy szczęśliwą? Dotąd była szczęśliwą, miała młodość, urodę ale od tej pory życie jej poszło innym torem. Zaczęła otrzymywać mnóstwo listów. pełnych wyznań najgorętszej miłości, uwielbienia dla jej wdzięków i urody, parę oświadczeń o jej rękę.

Ale były też i inne listy, tchnące goryczą i zazdrością, pełne nienawiści, obiecujące zemstę. Domyślacie się autorów tych listów. Tak, naturalnie to były kobiety i to kobiety piękne, które nie otrzymały pierwszej nagrody i stąd ta zawiść jaką żywić poczęły ku tej jednej.

Raptem stała się osobą tak popularną, że wszędzie ją sobie pokazywano. Nie mogła pokazać się w teatrze, na koncercie, na spacerze aby nie słyszała uwag czynionych pod jej adresem.

Aż wreszcie w pewnym dzienniku ukazał się artykuł mocno krytykujący ową Komisyę za jej wybór, a uważający wybrankę nietylko nie najpiękniejszą ale nawet dopatrujący się w niej pewnej brzydoty. Odetchnęła — skończą się dni udręczeń.

I rzeczywiście, minął jeden dzień i drugi nie otrzymała już żadnego listu nienawistnego. Poczuła wdzięczność do nieznanego wybawiciela i postanowiła mu osobiście podziękować. Udała się więc do redakcyi dziennika gdzie przedstawiono jej autora owego artykułu. Był to młody literat o wyrazie twarzy bardzo surowym, ale gdy dowiedział się jaką oddał jej przysługę rozjaśniło mu się oblicze i zaczął przepraszać, że nieznając jej osobiście nie mógł odgadnąć, że posiada tak wiele wdzięku, prosił o przebaczeuie i deklarował się stanąć zawsze w jej obronie.

— Przyjmuję — rzekła — ale tylko dlatego, że pan jeden miał odwagę powiedzieć kobiecie, że nie jest piękną.

— Powiedz, kochana babuniu kto to była ta pani — odzywa się młoda i ładna panienka, która także załączyła swą fotografię do „Konkursu piękności“ — powindz, tak mnie ta historya zajmuje.

— O dziecino kochana to było tak dawno — tak dawno — gdy ja byłam jeszcze młoda!

Ale teraz panowie lepiej urządzili, teraz głosy decydują to już nie narazicie żadnej kobiety na przykrości. *M. G.*

! Koniec głosowania 15 listopada !

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce.

KARTKA GŁOSOWANIA

Niniejszem oddaję mój głos na panią ....

............, której fotografia była za mieszczona w .... Nrze „Nowości Illustrow."

Podpis ....

Wyraźny adres i nazwisko ....

Nazwisko moje pozwalam — nie pozwalam umieścić w dziale konkursowym „Nowości Illustrowanych"

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce.

KARTKA GŁOSOWANIA

Niniejszem oddaję mój głos na panią ....

............, której fotografia była zamieszczoną w .... Nrze „Nowości Illustrow."

Podpis ....

Wyraźny adres i nazwisko ....

Nazwisko moje pozwalam — nie pozwalam umieścić w dziale konkursowym „Nowości Illustrowanych".

Za gorliwem staraniem J. W. Pani Starościny

Klementyny Zielińskiej

Przewodniczącej Narodowej Organizacji Kobiet zawiązał się pod jej przewodnictwem Komitet miejscowy w Sanoku — który przy urządzonej kweście na rzecz głównego Polskiego Towarzystwa Opieki nad Kresami w Warszawie — uzyskał kwotę:

17,304 500 Mkp.

Z wysokiem poważaniem

Aleksander Brandstätter

Sekretarz Komitetu miejscowego Towarzystwa Opieki nad Kresami w Sanoku.

Właściciele i wydawcy Spadkobiercy St. Lipińskiego. — Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński. — Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina.